

Nasz Komendant

My Ciebie, Wodzu, tak bardzo kochamy
Za to, że w chwili najkrytyczniejszej
Tyś pierwszy sformował szare legjony
I poszedł bronić Ojczyzny nieszczęsnej.

Że gdy my wszyscy, bezczynnie siedzieli,
Patrząc, jak męstwo i wola zamiera,
Tyś, swoją wolą, i szablą ze stali,
Pokazał wszystkim jak Polak umiera.

Tyś, to nam oddał wolną, niepodległą
Ojczyznę naszą, od granic do granic,
Kiedyś zhańbioną, i wrogów służebną,
A traktowaną długie lata za nic.

Ku Tobie biją wszystkie nasze serca,
I ziemi krwią zbryzganej — mówi głos synów —
Tyś, człowiek ze stali, co wszystko uśmierca,
Dobrym Polakiem i spragniony czynów.

Wanda Stabowska.

405

PIŁSUDSKI.

Jako znicz wielki i jako pochodnie
będzie po czasy długich wieków płonąć
nazwisko Jego, że ratował godnie
był Polski, wskrzesił i nie dał utonąć
w potopie wroga. A że dziś się wznosi
i zmartwychwstaje, bólam i sterana,
Ojczyzna ojców, że się wolną głosi,
to Jego siew,
to Jego plon!

Był siewcą dobrym, gdy jeszcze przed laty
siał miłość Polski w serca młodociane —
I wszedł z zasiewu dzisiaj plon bogaty.
Powstały hufce, które goją ranę
Tobie — Ojczyzno...
by wraz z naszą blizną,
zagoić krzywdy krzywd!

Stefan Gralewski. *706*

To pod armat melodję, pod pocisków opad
Rozkołysał się w mieście majowy listopad,
I ginącym dnia tego przynosił śmierć hardą,
I szyję przewiązywał czerwoną kokardą.
Strach widmem rewolucji nad miastem
zapłonął,
Od której wola krzepnie i marzenie cierpnie,
Przeciągnął pasmo czynów przez dwa wielkie
sierpnie
I zaplątał tę taśmę w kokardę szaloną.
To wszystko, razem wzięte: legjonowe kości,
Sen o marszach Chrobrego, kijowskie
dzwonnice.
Magdeburg, zamach stanu, ten wicher
wielkości,
Co trzaskiem karabinów zamiatał ulice,
Pamięć celi moskiewskiej, więziennicza
szczytność,
Natchnienie lat ogromnych, i trud jednej
chwili, —
Jak historja to pojmie? I jak się omyli?
I czy miasto uwierzy w kokardy błękitność?
Pod dłońmi wieczności dopełnia się waga.
Pod białym Belwederem zmieniają się warty,
A ON oczy zatopił w Słowackiego karty;
Jest sam z nabiegiem myśli. I jeszcze się
zmaga.

POLSKIE DZIECKO

TATUSIU, jak to było przed dziesięciu laty?
Polska nosiła kajdany?
Jak to było, tatusiu, czy na naszej ziemi
każdy chodził łańcuchami związany?

Powiedz, przecież było was tylu
i wyście związać się dali?
patrzeliście jak obcy nasze plony zabierał
i kornie najeźdźcy słuchali?

Nie rozumiem, tatusiu, przecież to nasza ziemia,
a gdzie byli nasi polscy żołnierze?
mówił pan nauczyciel, że gdy Polska zawoła,
Polak życie dać musi w ofierze...

A wyście żyli w niewoli?

Tatusiu, to musiało być źle na tej ziemi,
chyba jeszcze pan Piłsudski nie żył,
bo on by nie wytrzymał i gołemi rękami
na łupieżców Ojczyzny uderzył.

Tatusiu, toć niewola boli?

I nie było chyba jeszcze Legjonów
i nie było z orłem polskim znaków...
a może, tatusiu, za mało
żyło na tej ziemi Polaków?

Myśmy w szkole przysięgli, że gdy my dorośniemy
i za broń chwycić będziemy już zdolni,
naszej ziemi nikt hańbić ni gnębić nie będzie,
bo nie damy jej my, **LUDZIE WOLNI.**

Jah.

* * *
POLONEZ

(Z balu w sali Sejmu Rzeczypospolitej.)

Poloneza czas zacząć!...
Pan Zwierzyński rusza,
I zlekka zarzuciwszy
Wyloty kontusza,
Z estrady nawołuje
Wymownemi słowy,
By—kto Polak—rozpocząć
Taniec narodowy.
— Precz z budżetem!—zakrzyknął
I zszedłszy z estrady,
Stąpił ku drzwiom, naprzemian
Czerwony i blady...
Wtem—zdjął konfederatkę,
Kłania się pokornie;
Dama raczyła spojrzeć,
Lecz milczy upornie.
On krok zwalnia, oczyma
Jej spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakoniec,
Rad z jej odpowiedzi.
Już ku drugiej się zwraca,
Już strzela oczyma—
A po chwili—dwie damy
Za dwie rączki trzyma.
I tak poważnie z sali
Wychodzą sejmowej;
Klub żydowski, niemiecki,
No—i narodowy...
— Ach, to może ostatni,
Patrzcie, patrzcie młodzi!,
Może ostatni, co tak
Poloneza wodzi.

KLIN.

WIERSZ NAGRODZONY

Jerzy Zagórski napisał w Polsce wiersz, który został nagrodzony pierwszą nagrodą przez sąd konkursowy Sekcji Literackiej Komitetu obchodu imienin Józefa Piłsudskiego:

* * *

Bóg prawo ustanowił: ojczyzna jest święta.
Marszałku, „oddaj armję, słuchaj prezydenta”.
Szwolężerzy, spieszeni, po bruku pobiegli —
Na Nowym Zjeździe strzały — i pierwsi polegli.
Telegrafy furkoczą o pociągach z armją.
Paszcze armat się jutro ciałami nakarmią,
Jutro węzeł wydarzeń bagnety rozwiążą.
Górą kruki złowieszcze, samoloty, krążą,
A już na placach miasta kanonada bije,
Dołem biegnie ulica i krzyczy: „Niech żyje!”.
Późną nocą w śródmieściu, gdy ucichły strzały
I miasto spało w lęku przed jutrzejszą grozą,
Nadciągały pochmurne, szturmowe oddziały,
Bataljony na odsiecz walczącym obozom.
Poranek się na ścianach rozprysnął salwami;
Przyszły pułki poznańskie długimi marszami.
Padają strzały z okien narożnych kamienic.
Czy starczy krwi dnia tego na wiosny
rumieniec?

408

W HOŁDZIE MARSZAŁKOWI

Gdzie są gwiazdy upięte w chmur siwych warkoczach
Których Piłsudski porwał ostatnią komendą
I pieśnią, że polegną albo wolni będą?
Na niebie tamtej nocy? Gdzie jest młodość moja,
Której wtedy szumiała ta sierpniowa data,
Nową decydującą bitwę w dziejach świata.
A w niej cud był zwycięstwem, a wódz był legendą?

Gdzie są dzisiaj ci chłopcy o błyszczących oczach,
Że wojnę wygrał Hektor, że wygrała Troja
Cały świat gratuluje i w poklask uderza
I kłania się i schlebia chwałbą dookolną
I wtedy się zrodziło to Święto Żołnierza,
O którym dziś żołnierzom pamiętać nie wolno.

Nam w uszach dotąd jeszcze dudni defilada,
Synkopy kopyt końskich stukają po bruku
I wśród grzmotu wiwatów i krzyku i huku
Orkiestra gra pieśń rzewną "My, Pierwsza Brygada" ..
Gra pieśń "Co wszczęła rozpacz, niech dokona męstwo!"
I gra "Marsz, marsz, Polacy, Bóg nam dał zwycięstwo!"
I podnoszą się głowy, chylą się sztandary,
A on mówić nie może. Mundur na nim szary.

Gdzie są dziś tamci chłopcy o błyszczących oczach?
Na wygnaniu, po świecie dalekim, w rozsypce.

Idą borem i lasem, obcą drogą polną,
Miastem obcym, gdzie ludu nieznanyma gęstwa,
Niedobitki tryumfu, święta i zwycięstwa.
O którym w ich ojczyźnie pamiętać nie wolno.

MARIAN HEMAR

409

Bawiliśmy się spokojnie
jak małe, nieświadome, nawpół senne dzieci,
gdy ferment przeraźliwy zabulgotał w kotle Europy,
gdy pierwsze napomknienia o możliwej wojnie
zaświeciły, jak iskra co prądem po drucie leci
i ruszyły się z letargu straszliwie
rozpędowe koła wypadków
a ślepe sfinksy dziejów do pochodu podniosły stopy.
Świat drżał, jak pod wichrem o świcie...
Budził nas ktoś.
Kołatał w drzwi i okna nieznany, szary człowiek,
a myśmy zrywali się ze snu, jak wyleknione dzieci,
jak gnuśni niewolnicy, którym stał bezwład z powiek
jakiś huk trąb daleki, zmartwychwstałych ech gromobicie.
I oto w nas skarłałych, nędznych, skulonych przy ziemi
uderzył młot porywów i uniesień,
lawina zamierzłych splendorów runęła w nas jak Anioł boży,
dreszcz święty targnął nami, jak cud olśnienia ślepyimi
i w szarą, bezbarwną, chwiejną żywotów naszych jesień
buchnęła wiosna dni nowych,
którym duch dziejów spiżowy
karty swej księgi — słońce klamrą spiętej — otworzył.
A tam
na klawiaturze wszystkich części świata
grał ślepy muzyk szaleństwa, ścinające krew w żyłach fugi,
jakoweś grzmoty toczących się z trzaskiem brył,
jakieś eksplozje furji ruszających w galop narodów...
Okropne, stalowe maszyny armji, dywizji, korpusów,
biły w bęben, strzelały na wiwat przechodząc Rubikony granic,
dyplomaci rzucali kości, straszliwe, krwawe szach-maty
i jak wytrawni oracze pchnęli wodzowie wojsk pługi
naładowane energią elementarnych sił.
— Brawura teutońskiego pochodu,
lampartów w pikelhaubach opancerzone susy,
panika miast młóconych, smaganych ostrym gradem pocisków,
Świder przełamań frontów, lament katastrofalnych odwrotów,
hausty krwi w przetykach Hindenburgów i Mackensenów,
rumowisko zwalonej Belgji, skąsanej krwiożerczym pyskiem,
i gnicie w rowach strzelec. przykucniętej nad Izerą piechoty.
— Zachłyśnięci zalewem olbrzymich wydarzeń,
wepchnięci w wór mundurów wrażeń, cuchnących
i wstrętnych,
zgrzani pośpiechem ofenzyw, kontrofenzyw, ucieczek i bitew,
chowając w głowie pod hełmem płomień najświętszych marzeń
szliśmy, strzelali, stawali, jak nam kazali gdzieś z tyłu,
krajając sprawnie wroga, jak ślepa wyostrzona brzytew,
— a w gardle szloch nas palił, krzyk, krzyk, ten krzyk
namiętny:
Za co, po co, dlaczego zakuci w kajdany przymusu,
prujemy brzuchy braci i ojców strącamy w mogiły?!
My, krew z krwi szwoleżerów, kość z kości czwartaków-
wiarusów.
I wtedy jedna nam była rehabilitacja i sława:
— Komendant — lew legjonów i ich epopeja krwawa.
Widzieliśmy, że znowu z historii naszej kart
wstał młody duch bojowy, ten legjonowy hart.
Że jak błysk tego miecza, co w garści Chrobrych się miotał
nasz „sen o szpadzie” ożył, nasza legenda złota.
Polska wydarła się znowu z pod przemocy cmentarnych
cwiaków,
Tarzała się w konwulsjach rozpaczliwego bólu.
Szkarłatem krwi buchającej, otwartych pulsów rzeką
zalała płaszcz pobojuwisk i trysła w oczy królów
i w pośrodku Europy, jak wyrzut, jak hańba, jak zbrodnia
zapłonęła jej mściwa krzywda, okropna, żywa pochodnia.
I nie mógł już jej przyćmić blask bombardowanych stolic,
iluminacje frontów, łyskających miliardem wystrzałów,
ani jej już nie zgłuszył gwizd szarż i marsz piechurów,
ni świst kul, ni spazm rannych drgających poszarpanem
ciałem.
Ani zdyszane salwy stu mil tyraljerskich sznurów,
ani krzyk mnóstwa matek wypłakujących oczy w niedoli...
Szła do stóp bożych z potwornych zmaganiań nad Marną,
jęk biczowanej Belgji wił się i lkał po niebie
— ale ponad nie wyrósł chmurą ponurą i czarną
czad żywcem palonego narodu na nadwiślańskiej glebie.

— — — — —
Przystały pluć baterje z luf haubic śmierć na miasta,
lotnicy z radosną wieścią wzlecieli z swoich hangarów,
że na zwęglonych zgliszczach paproci kwiat wyrasta,
symbol Swobody, Zgody ten kwiat, jak płąt sztandaru.

— — — — —
Parady, defilady gruchnęły po brukach Warszawy,
na frontach bataljony trzykrotny okrzyk wzniosły
i szary człowiek, Komendant, uchwycił w garść buławę
z krwawego kotła zdarzeń jak symbol hartu wyrosły.

— — — — —
Rok w rok uderza młotem, czas wije i zdziera wawrzyny,
w mgłę się zasuwa człowiek, idea trwa w budowie,
lecz On się wkuł we wieczność spiżowym ciosem Czynu,
w Nim naród poczuł siebie, jak duch się czuje w Słowie.
Małość i złość Go szarpie, bije weń pianą fali
i karła, ślepa zawiść szponami rani swymi,
lecz zgłębia myśl Jego wieki, gdy z perspektywy dali
obaczają w Nim pioniera, co ziścił sen olbrzymi.

BYLE NIE „BRYGADĘ”!

czyli będą musieli zmienić orientację.

(Satyra przedwyborcza w Polsce)

Niemiec klnie, zato Anglik i Francuz nas
(chwali,
Żeśmy na Piłsudskiego listę głosowali;
„New York Times” Dziadka ojcem narodu
(nazywa,
A opozycja czyta — i głowami kiwa.
Wreszcie pewien endecki profesor powiada:
— Pomylił się nasz Romcio... No, cóż?...
(Trudna rada!
Gdy cały świat, prócz Niemców, wychwala
(sanację,
Musimy chyba zmienić naszą orientację!
Toć Mickiewicz powiedział: I Niemcy są
(ludzie!
Więc zburzmy gmach, lat tyle budowany
(w trudzie,
I aby świat ukarać za ohydną zdradę,
„Wacht am Rhein” zaśpiewajmy — byle nie
(„Brygadę!”.

411

Panie Marszałku Piłsudski
Cisza była w kościele, przerywana tylko
Płaczem kobiet. Rycerze stali nieruchomo,
Jeno im wąsy drżały w szlochu. Na ambone
Wyszedł ksiądz Muchoniecki, blady jak opłatek.
Przez ramię miał przewieszony bęben żołnierski,
W dłoni pałeczki trzymał. Milczał długo. - Nagle
Uderzył w bęben werblem żołnierskim - i urwał.
I zdumieli się wszyscy. Znowu dłonie uniósł
I znów zagrał na larum - na trwogę aż cisnął
Pałeczki na kamienną posadzkę kościoła
I na katafalk zwrócił oczy - zawołał:
Panie Wołodyjowski! Wtedy z niewiastami
Zapłakali rycerze. A ksiądz wołał trupa -
Panie Wołodyjowski! Wróg w ojczyźnie stanął -
A Ty śpisz? A Ty szabli nie dobywasz?
Konia rycerzu nie siodłasza?

O Panie Marszałku!
O Marszałku Piłsudski...
O daleki cieniu,

Błękitny nieuchwytny,
Przeznaczony wspomnieniu.-
Szukało Cię radio po nocach,
Na odsiecz ginącej Warszawie.
A Tyś się nad mapą nie schylał -
W tej najcięższej, najsroźszej przeprawie.
Wołały cię krzyki werblów
Milknących już rozpaczliwych, -
A Tyś miecza nie dobył,
Konia nie dosiadł,
Nie było Cię wpośród żywych.

W trumnie pod wierzgą Srebrnych Dzwonów
W kamiennym locchu leży On,
Co sam za życia był jak dzwon,
Gdy w serce swoje wlał z milionów
Serc - wszystką gorycz, wszystek żal
I wszystek hart samotnej mocy,
I polskich marzeń wszystką dal.
I wszystko w sobie stopić umiał
W jednego spiżu gorzki ton.
Ale nikt w Polsce nie rozumiał,
Dla kogo brzmi bezcenny dzwon.
Dlaczego lampa lśni co noc
Do świtu w oknie w Belwederze?
I skąd się bierze owa moc,
Że prężą się - jak młodzi porucznicy
I bledną najstarsi żołnierze,
Gdy w oczy patrząc
Zmarszczy brwi? -

Remarq

Mazec 1940

Panie Marszałku Piłsudski

Cisza była w kościele, przerywana tylko
Płaczem kobiet. Rycerze stali nieruchomo,
Jeno im wąsy drżały w szlochu. Na ambone
Wyszedł ksiądz Muchoniecki, blady jak opłatek.
Przez ramię miał przewieszony bęben żołnierski,
W dłoni pałeczki trzymał. Milczał długo. - Nagle
Uderzył w bęben werblem żołnierskim - i urwał.
I zdumieli się wszyscy. Znowu dżonie uniósł
I znów zagrał na larum - na trwogę aż cisnął
Pałeczki na kamienną posadzkę kościoła
I na katafalk zwrócił oczy - zawołał:

Panie Wołodyjowski! Wtedy z niewiastami
Zapłakali rycerze. A ksiądz wołał trupa -
Panie Wołodyjowski! Wróg w ojczyźnie stanął -
A Ty śpisz? A Ty szabli nie dobywasz?
Konia rycerzu nie siodkasz?

O Panie Marszałku!

O Marszałku Piłsudski...

O daleki cieniu,

Błękitny nieuchwytny,

Przeznaczony wspomnieniu.-

Szukało Cię radio po nocach,
Na odsiecz ginącej Warszawie.

A Tyś się nad mapą nie schylał -

W tej najbliższej, najsroźszej przeprawie.

Wołały cię krzyki werblów

Milknących już rozpaczliwych, -

A Tyś miecza nie dobył,

Konia nie dosiadł,

Nie było Cię wpośród żywych.

W trumnie pod wierzgą Srebrnych Dzwonów

W kamiennym locchu leży On,

Co sam za życia był jak dzwon,

Gdy w serce swoje wlał z milionów

Serc - wszystką gorycz, wszystek żal

I wszystek hart samotnej mocy,

I polskich marzeń wszystką dal.

I wszystko w sobie stopić umiał

W jednego spiżu gorzki ton.

Ale nikt w Polsce nie rozumiał,

Dla kogo brzmi bezcenny dzwon.

Dlaczego lampa lśni co noc

Do świtu w oknie w Belwederze?

I skąd się bierze owa moc,

Że prężą się - jak młodzi porucznicy

I bledną najstarsi żołnierze,

Gdy w oczy patrząc

Zmarszczy brwi? -

Panie Marszałku Piłsudski...
Stertami kwiaty kładli
Na belwederskim dziedzińcu,
Ziemię znosili kopiec sypali Ci na Sowińcu.
Serce zanieśli na Rosse,
A ciało, jak próżną zbroję
Zamknęli w krypcie Wawelu!...
I wrócili - swój do swego po swoje.
I robili wycieczki.
I biadali: Ojczyzna -
I stawiali pomniki,
I krzyczeli: spuścizna!
I nagle ich było tak wielu,
Przy spuściźnie Twojego Imienia.
Tę spuściznę rozrywali w tłoku
Cały rok, dzień i noc bez wytchnienia,
A dla Ciebie - tylko raz do roku
Zostawiali minutę milczenia. -
I tylko tej minuty - jeden raz do roku
Można było usłyszeć - bez niczyjej komendy,
Jak w górze - coraz dalej - skrzydła biją w mroku.
To odlatał Archanioł umarłej legendy.
Ale dzisiaj w przeraźliwym blasku
Nieszczęścia, wstydu i klęski,
Serca mają trzepoczące w potrzasku.
I szloch w gardle dławią nie męski.
Gdy wydaje się myśl w bezładzie.
W beznadziejnej i nikczemnej obawie,
Że już prysły polskie sny o szpadzie,
Sny o mocy i sny o sławie. -
Gdy dziś tylko szukamy - czyj błąd?
Kto był winien? - Jakiej komu kary?
Kto oszukał i kogo pod sąd?
Jakby dość było takiej ofiary.
Kiedy triumf przemocy diabelskiej
Patrzeć każe zła twarzą w twarz,
Gdy u tej krypty Wawelskiej
Niemcy trzymają straż.

.....
Przez łzy nawisłe u rzęs
Pytają bezradne spojrzenia...
Jaki był w Polsce sens
Jego istnienia?
Odpowiedź surowa
Ale brzmi najprościej.
Jego testament - dwa słowa:
"Nakaz Wielkości".
Wielkości - to znaczy -
Większe niż los mieć serce,
I być wielkim w rozpacz, i
I w nędzy i poniewierce.
Nauczyłeś - po przez zło
I gwałt dwugłowego czarta,
Co znaczy wolność i co jest
I co będzie warta.
Dzisiaj nie czas na kręte wysiłki
Na sąd kto winien - Ci tamci czy inni.

Winien jest kłanca i każdy co wierzy
 Kłanecy, bo wierzyć byko najwygodniej,
 I każdy co Polskę swoje miarą mierzy
 I mniej miar dla Niej
 A więcej chciał od niej.
 Kto się dla siebie wymówki doprasza
 Niech jeno spojrzysz prawdzie w twarz -
 Każde zwycięstwo jest nasze
 I każda klęska jest nasza,
 Nasz wspólny jest honor
 I każdy grzech, każdy błąd jest nasz.
 Ta wielkość niech dusze wzbogaci,
 Choć dzisiaj cięży jak gżaz -
 Gdy każdy za wszystko płaci
 Bo Polska - cała - to każdy z nas.

- - - - -
 Oto jest nakaz wielkości,
 My już nie mamy wyboru, -
 My już musimy po wieczność wieczności
 Żyć według jednego wzoru.
 Oto ślub nasz
 Panie Marszałku.
 Dziś rozbitki miotani na fale
 Jutro będziemy wielcy.
 Albo stanie na gruzach Warszawy
 Pomnik skawy, żuk zwycięstwa promienny,
 Albo niech zatkną tam krzyż na grób,
 Ale krzyż bezimienny.
 Ażebym się nie dowiedział
 Do końca świata wzrok - ludzki,
 Że tu leży naród którego wodzem -
 Napróčno - był - Józef Piłsudski

Honara

19 Marca 1940 r.

415

O, Chryste.

O miłości mówiły Twoje oczy świetliste...
 O miłości uczyłeś: Chryste, Chryste, o Chryste.
 Dla miłości skonałeś umęczony na krzyżu -
 O miłości nam kazał Twój Franciszek z Asyżu.

Wypełz z koszar rozbestwiony tłum,
 Na świat niesie cielsk ohydny nierząd,
 Huk wybuchów i loskot i szzum,
 Ryk zwycięski opętanych zwierząt.
 W ciezkim dymie palących się chat
 Wyją wściekle pogańskie chochoły
 I runeła nienawiść przed świat
 I runeły strzeliste kościoły.

Byliśmy rycerscy. W człowieku czuliśmy brata.
 Mord, rabunek, tortury - za wiare ot! zapłata...
 Serca macie przegniłe, serca wasze to pruchno,
 Na krzyki umierających wasze uszy głuchną.

Niech w swym grobie śpi łagodny Piast.
 Krzyż Chrystusów wdeptaliście w ziemię.
 Wyrwać trzeba - wypalić jak chwast,
 To krwiżerze, to bestjałskie plemię.
 I nie tylko wygnamy was pre cz
 Sprawców kaźni, dostawców trupiarni -
 Już nie pokój niesiemy, lecz miecz,
 By was topić w kaluży krwi czarnej.

Wasz lotnik, który bezbronnych obrzucał bombami,
 Niech pozna żar płomieni, niech gaz mu wyżre oczy...
 Niech się zachłyśnie grozą, niech się udławi łzami,
 Niech motor go żywego do naszej ziemi wtłoczy.

Bogu mściwy, wstań i serca budź
 w rozpętanym, sprawiedliwym szale...
 Gdy podwodna wasza tonie łódź
 Gdy was miazdzą Oceanu fale,
 Gdy toniecie bezsilni jak szczury...
 Męki życze wam długiej - nie snu
 - Jak najdłuższej konania tortury...

Nie miał żołdak bezduszny litości nad nami,
 Precz ze sercem, z miłością. - Jesteśmy mieczami.
 Zamknałeś oczy smutne, Twé oczy świetliste,
 Z moją ziemią umarłeś Chryste, Chryste, Chryste....

(Hallo Johny
Piosenka zolnierzy Polskich w Szkocji
o kolegach z Ameriki. Słowa:
Adama Kowalskiego)

Hallo Johny, Jasku bracie!
Na co jeszcze tak czekacie?
W pojedynke isc wam glupio?
No, to walcie do nas kupa.

Jozku - Joseph Tony - Antek!
Chybaż, Bracie, przez Atlantyk.
Nas tu sporo, a was - chmara.
Hej, na odsiecz biegiem wiara!

Ile macie gwiazd w sztandarze,
Tyle pulkow dajcie w darze
Za szczesliwa wasza jazde
wypijem pod kazda gwiazde.

A jak juz bedziemy razem
zablyśniemy znow zelazem
Poigramy z krokodylem
Nad Tamiza czy nad Nilem

Wzmocnimy sie przed atakiem
My - porydzem, wy - szpinakiem,
Swiat z podziwu deba stanie,
Gdy zobaczy polskie pranie.

Jak sie fajno skonczy sprawa,
Ucaluje was Warszawa.
Sto lat beda grzmiec okrzyki:
Wiwat chlopcy z Ameriki!

Piłsudski Do Konstytucji

No, cicho stokrotko!
Tak, podaj mi rączki...
To nie są kajdany!
To... ślubne obrączki!
Nie myślę o gwałcie...
Nie bój się, robaczku!
Chcę uczynić pannę
Podłóg pomywaczką.
Zamiary mam czyste,
Przysięgam ci szczerze...
Jak wówczas w napadzie
Na rząd w Belwederze!
Będiesz panna myła
Ojczyste podłogi,
Po których chadzają
Pułkowników nogi!

Józef Makowiecki.

W Ó D Z

(*W szesnastą rocznicę sierpniową.*)

Przeminie wszystko, przeminie:
radości i smutki nasze—
na grobach naszych zapadłych
bezpieczny schron znajdzie ptaszę.

Zapomną o nas prawnuki,
ślad wszelki po nas zaginie,—
a czyny jego żyć będą,
choć kilka wieków upłynie...

On, jak jasnowidz, przewidział
ów zmartwychwstania dzień bliski—
i stał na straży, choć w Niego
miotano szyderstw pociski.

Szło za Nim wszystko, co było
zdrowe, szlachetne i dumne,
by szablą Polsce wyśnionej
wiekową rozewrzeć trumnę...

Szły hufce szlakiem męczeńskim,
padając w bojach, jak kłosa,
szły z wiarą w jutro zwycięskie,
„na stos rzuciwszy swe losy.”

A on, jak rycerz niezłomny,
wiódł oną młodzież ofiarną,
by z krwi jej, bólu i znoju
wyrosło wolności ziarno!

MARYLA.

W DNIU IMIENIN MARSZAŁKOWI PIŁ- SUDSKIEMU

Urok tradycji, jaką Polska słynie,
Sięga tu, do nas, poprzez oceany,
Więc nikt wykrzyknąć niechaj nie ominie:
Wiwat! Niech żyje Naczelnik kochany!...

Z wszystkich Józefów Piłsudski na przedzie
Wśród narodowych zasług promienieje,
Legjony polskie do zwycięstwa wiedzie,
Ziszcza narodu wiekowe nadzieje.

Sen, choć mu życie spełniło tak wiele,
Choć walczył, cierpiał i okrył się chwałą,
Jednak ciernista droga wciąż się ściele,
Mimo że Polskę mamy wielką, całą.

Norwid, Śniadowski, bataljon legjonów,
Złożonych ofiar szczytne piramidy,
Choć otworzyły pieśń Wolności Dzwonów,
Nie mogą zgubić niezgodnej ohydy.

Na darmo Skargi prorocze kazania,
Albo wiekowej niewoli katusze,
Ani te męki, te wszystkie powstania
Dość nam głęboko nie wryły się w duszę.

Inaczejbyśmy cenili zasługi
Tych, co krwią własną bronili narodu;
Chłostał ich dziko wojenny czas długi,
Zanim zdobyli niezależność grodu.

Zbrodnią jest teraz rozpościerać waśnie,
Kiedy potrzeba siły na budowę;
Każdy w swem kółku niech w pracy nie zaśnie,
W głębę społeczną wrzuci ziarno zdrowe.

Dopiero kiedyś historja osądzi,
Kto mądrze myśli, sprawiedliwie czyni,
Kto mimowoli najfatalniej błądzi,
Dziś bądźmy dumni choćby z portu Gdyni.

I stwórzmy łańcuch czynów i pojęcia,
Złączmy wśród zgody partyjne ogniwa!
To są życzenia dla Marszałka księcia,
Które Polonja śpiewa voce viva!

Józefa Wnorowska.

Nowy Jork, 15 marca, 1931 r.

BŁOGOSŁAWIONY TEN ZAISTE, KTO CZUWA

*Dni mijają, jak wichry
jesienne—*

*Lata lecą, jako dni nad nami...
Lata wieków, szumiąc
skrzydłami,
nadziejami stuleci brzemien-
ne.*

*Lata idą — i dni wielkie jak
lata,
a dzień każdy nową przysz-
łość wykuwa —*

*Błogostawion ten zaiste, kto
czuwa,
komu żywot jak bezsenna jest
czata!*

*Kto pod światło nowej zorzy
wstającej
krwawą dłonią wzrok nakry-
wa — i bada,
skąd od zorzy w pierwszy
promień wypada,
pierwszy promień, nowe ży-
cie rodzący!*

*Bowiem widzi ten zaprawdę
i czuje
spraw dalekich praogromne
zjawiska —
nad struchlatej przeszłości
zwaliska
jako orzeł nad turnie wzla-
tuje!...*

*Lata pędzą... Szaleją w roz-
pędzie
Błogostawion — kogo trud
nie zmoże,
iż się jeszcze wyleje krwi
morze,
zanim Radość tę ziemię po-
siedzie!*

*Aż nad krew tę — nad zamęt
podolny —
na ogromnym narodów kur-
hanie,
wielka zjawia przyszłości
powstanie,
nowy ziemi tej ten cud:
C z ł o w i e k W o l n y*

*Szechynie, w październiku
1917 roku.*

421 Józef Mączka.

PO UPADKU RZĄDU BARTLA

(Pieśń biesiadna dla „zwycięzców.”

— Zwycięstwo!—huknie radosna wi
Otrząsa smutek syreni gród;
Ucichły klęski—i składa lud
Swym bohaterom należną cześć.
Padł w srogiej walce okrutny wróg,
Rząd „wykruszony” odchodzi precz;
Niech mirtem wieńczą zwycięski miecz
Poseł Zuławski i poseł Róg.

Pierzchyły chmury, słońce lśni,
Przyjście wiosny głosi nam...
Najpiękniejszy z pięknych dni,
Jakże cię wysławiać mam?...
Jasne oko dnia!... Twój bieg
Złotem barwi Wisły brzeg...
Zakończony groźny bój!...
Wiedz w triumfie pochód swój!...

„Bachus” otwiera podwoje swe,
Prosi w gościnę zwycięski huf...
Po krwawej walce ucztę dla lwów
Możny ich patron wyprawiać chce.
Pragnie znów ujrzeć swawolny bóg
Rządów z przed maja wesoły sketch...
Niech mirtem wieńczą zwycięski miecz
Poseł Zuławski i poseł Róg.

O Atrydach milknij śpiew;
Lepsze wino, niżli krew...
Herkulesa nudny trud;
Milej bawić się, jak wprzód.
Niech na fletni zagra Pan
Satyrowy dawny tan;
Niechaj wina płynie zdrój;
Bachus wiedzie pochód swój!...

Gdy tak wesela rozbrzmiewa głos
I ciekawista—chwali się gust!—
Do piersi ciśnie Endecji biust,
A ona jego głaszcze—pod włos:
Wtem jakieś widmo przekracza próg
Lata się przed nim cofają wstecz,—
I nagle gubią humor i miecz
Poseł Zuławski i poseł Róg...

Któż to postom maćci fest?
Choć duch milczy, każdy zgadł:
— To z Upity poseł jest!
— To Siciński!... To nasz brat!...
I powstali wszyscy z ław:
— Skoroś przyszedł, to się baw!
— Wspomnień złych odpędźmy rój
Bachus wiedzie pochód swój!...

Do Generała

Do ostatniego mężczyzny -
do ostatniej kobiety -
miałeś bronić Ojczyzny -
miałeś bronić Warszawy
generale!

Już twe kukułcze portrety
w jutrzejszej jaśniały chwale -
chrypło radio od twej przyszłej sławy!
Jak koguty piał ci gazety,
że do ostatniej kobiety,
do ostatniego mężczyzny -
o, spadkobierco buławy!!!

O, polska tragedia plew,
które ziarnami żudzą!
Jak łatwo powiedzieć "krew"!
gdy chodzi o cudzą -
jak łatwo przywołać "śmierć",
gdy chodzi o życie -
owych mężczyzn ostatnich,
owych kobiet ostatnich,
którym pan dawał frazes bez pokrycia!

Wicher targa rumuńską nocą -
próżno oczy i uszy zakryjesz -
Teraz oni do okien łopocą: -
"Generale! My polegli - ty żyjesz!"
Niech pan uszy i oczy zasłoni,
niech pan w oknach zaciągnie firanki!
- bo tam stoją żołnierze bez broni,
tak, jak wyszli na niemieckie tanki!
bo tam stoją warszawscy cywile,
którzy z szarej, warszawskiej ulicy
uczynili polskie Termopile -
gdy pan uniósł głowę ze stolicy!...
bo tam wyje tłum rozgoryczony,
który panu dawał ze swej biedy
grosz ostatni - na "fundusz obrony",
Ciała liche - na "żywe torpedy!"

Wiosna w oknach jak ptak czarny bije...
Kto tam płacze po ciemnej alkwowie?...
Niech pan oczy i uszy zakryje! -
cóż pan nocnym upiorom odpowie?!

Oni panu wierzyli,
jak jeszcze nigdy w polskich
nie umieli dziejach!
Pan te krzyki pamięta?...
Te dreszcze uniesienia?
Te kwiaty w alejach?...

Jakby chcieli naraz - w jednej chwili,
silni, zwarci, cudowni! -
gotowi panu oddać wszystko,
co byli umarżemu "winni" marszałkowi -
jakby naraz, w jednym sercu wstrząsanie,
panu chcieli hojnie, tysiącrotnie,
wynagrodzić to wszystko,
czem on się gryzł po nocach

Gorzko i samotnie...
Na to w Polsce stulecia czekały! =
wieki w Polsce modliły się o to,
żeby naród był za wodzem cały,
wiarą, zgodą, natchnieniem, ochotą!
To był taki kapitał niezmierny
przyszłej mocy!!!
A pan go roztrwonik...
Sąd nad panem?...
Boże miłosierny!...
Głowa pańska? -
Głowę pan obronił!
Pułki pańskie -
tak czy owak zbrojne?...
Plany tajne,
które pan gotował?...
Ach pan przegrał
coś więcej niż wojnę.
I coś więcej,
niż wojsko zmarnował!
Kiedy pan przejeżdżał granicę, -
poraz wtóry tej nocy -
kulawy staruszek,
generał Sowiński,
padł na Woli - broniąc Warszawy!
Gdy przed panem,
na rumuńskim moście,
strażnik szlaban szeroko otworzył,
poraz wtóry tę noc,
siwą głowę pod Cecorą
Żółkiewski położył!

Kukułczy portret Rydza

Tragiczne oskarżenie poety pod adresem
"drugiego marszałka".
Wśród rozlicznych listów, jakie niemal
codzień napływają ze wszystkich stron
świata, otrzymaliśmy wiersz zamieszczony
tutaj. Poeta, Hemar, potężnymi w wysłowie
niu zwrotami, ujmuje tu istotę tragedii
polskiej. Równocześnie z tym listem, na-
deszły i inne wieści, przywiezione przez
kapłana-tużacza, który ostatnio przybył
z Azji Mniejszej. Ow kapłan-tużacz "ocie-
rał się" o zgraje sanacyjnych uciekinie-
rów i zapewnia nas, że pohańbieni bankruci
"legendy", właśnie pod "wodzą" Rydza, bez-
ustannie knują i w zajętych swych serca-
planują "odegranie się" i powrót do "peł-
nej" władzy w Polsce, gdy im już ja Si-
korski ze swą bohaterką armią wywalczy.
Z tych właśnie względów, wiersz załączony
nabiera szczególnego znaczenia i aktual-
ności.

Na dzień 19 marca 1943 roku.

5.

/wiersz okolicznościowy, wygłoszony przez autora
na akademii ku uczczeniu świętej pamięci Pierw-
szego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego -
w Rothesay na wyspie Bute w Szkocji/

Widzę Cię Polsko taką, jaką Jego wola
miała odtworzyć: całą, wolną, niepodległą,
wzrok mój sięga daleko hen na Dzikie Pola,
gdzie ongiś tyłu polskich rycerzy poległo.
Nietylko dla obrony polskiej stanu racji
i nietylko te pola przesiąkły krwią laszą!
Europo! dla Twojej to cywilizacji,
za swobodę, za wolność naszą i za waszą!

Widzę Cię Polsko taką, jaką Jego dzieło
pozostawiło: zdolną do spełnienia roli,
którą, zakreślił Wielki Chrobry i Jagiełło,
widzę Cię wydzwigniętą z stuletniej niewoli
i podającą rękę i Litwie i Rusi
ze Śląska hen do Dźwiny i do Zaporozża.
Bo tylko tak powinno być i tak być musi:
Polska z Litwą i Rusią - od morza do morza!

Widzę Cię Polsko wolną i Ciebie też widzę,
Litwo i Ukraino, w wolności, swobodzie...
Ale ileż tam jeszcze - powiedzieć się wstydzę -
ileż tam jeszcze trzeba odmienić w Narodzie.
Wiele też trzeba będzie i trudu i znoju
na przeoranie Polski, by krew plon wydała,
w niejednym trzeba będzie stanąć jeszcze boju,
by wstała niepodległa i wolna i cała!

Marszałku! Wszak Ty widzisz tam spod Srebrnych Dzwonów,
jak stadą kruków Twoją obsiadły kaplicę
i kraczą, że puścizna Chrobrych, Jagiellonów
ze to trup i już szarpią krwawiące granice.
Za krukami zlatują się także gawrony
i urągają na Twe wiekopomne dzieło,
na Twą wolę złączenia Litwy i Korony,
kraczą, że tylko Chrobry, ale nie Jagiełło.

Marszałku! Wszak Ty widzisz! I nie grzmisz z Wawolu,
gdy wrogowie się dzielą Polską Niepodległą?
Z Twoich wiernych żołnierzy czy już tak niewielu
pozostało przy szabli, już tyłu poległo,
ze nie zagrzała za Ciebie, ze nie krzyknęła śmiało:
Precz kruki i gawrony i wam wszystkim wara,
co wśród obcych szargacie przeszłość Jej wspaniałą,
precz! Gdzież jest wasza miłość Ojczyzny i wiara?

Marszałku! Twego miecza i bicia nam trzeba,
Serce niech bije dalej Miłością na Rossie,
jeno nam z Ducha Swego Swój Gniew ześlij z Nieba
i tę Moc, co dzwięczała jak dzwon w Twoim głosie,
jak Zygmunt, gdy uderzał z Wawelu na trwogę,
zwoływał Polskę, Litwę i Ruś ku obronie,
przenów w Gniewie i z Mocą, mieczem wskaz nam drogę,
a biczem przepędź tchórze, karły i nieponie!

Czas zrzucić z oczu maski i kurzą ślepotę,
czas nareszcie rozpoznać, co działanie wrogie,
czas wypłenić z Narodu podłość i głupotę,
czas spalić pakt, akty i w prawdę ubogie
"fakty i dokumenty": Zakasać rękawy
i podać sobie dłonie i złożyć ofiary
z osobistych ambicji na ołtarzu Sprawy
i Polski Niepodległej rozwinąć sztandary!

Hej! kto Polak, niech staje dziś w jednym szeregu!
Zapomnieć krzywd i uraz, podać sobie ręce
i zgodnie, równo, zaino wiosłować do brzegu!
Może to już niedługo koniec tej udręce?
Jego Duch niech przewodzi, bo duch to Miłości!
Dzisiaj nie ma wyboru, jedna tylko rada:
do Całości, Wolności i Niepodległości
trzeba nam maszerować jak - JEDNA BRYGADA!

425

WÓDZ MÓWI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

*“Chwili przelomu — mówił — myśmy dzieci,
Lecz także grzechów ojców spadkobierce;
Żądza użycia, nabytek stuleci,
W głęb duszy wrosła, plami nasze serce!*

*“Z gruntu krzywdami przesiąkłej wysepki
Od urodzenia piliśmy bezwiednie
Jad samolubstwa, a w puchach kolebki
Grzechy śmiertelne były nam powszednie.*

*“Lecz dziś, zatłona iskra w sumień próchnie
Wznięca w nas ogień święte, bo ofiarne;
Trza ją rozdmuchać, niech pożarem buchnie,
Ogarnie dusze, przetrawi w nich męty
I serca nasze, od trucizny czarne
Na przeźroczyście przetopi djamenty!*

*“Więc za mną, w górę! Niechaj dusza czerstwa
W jędrnem powietrzu z suchot się wyzwoli,
Niech się do wyżyn dźwignie bohaterstwa,
Lotów zawrotnych niechaj dozna szalu*

*I posłannictwo swe spełniając godnie,
Zejdzie w promiennej światła aureoli
Na padół płaczu — gwiazdą ideału
Zapalać ludzi — jak żywe pochodnie!*

*“Patrzcie w tę przepaść, gdzie dum mgła się wierci
Gdzie czysty potok w tęczowych łez pyle
Tłucze pierś srebrną o kamienie twarde...
Bo może kiedyś i nam z widmem śmierci
Przyjdzie się szarpać w ciemnicy mogile,
Więc przywykajmy mieć dla niej pogardę!*

*“Patrzcie na orła, co swych skrzydeł końcem
Przemaga falę powietrza upartą
I leci w niebo witać się ze słońcem,
Żrenicą jasną, dumną, bo otwartą!
Nam, jak ten orzeł, żyć i walczyć trzeba:
Całym rozmachem wewnętrznej potęgi,
Łamać przeszkody i wyniosłym duchem
Porwać za sobą świat w słoneczne kręgi,
A serca ludzkie otwierać dla nieba!*

426

BRZEŚĆ!

1.

Na powojennej karcie, napisanej
Historji Polski krwawym atramentem
Zostanie miejsce, gdzie z kropli rozlanej
Wyraz się złoży, co będzie przeklętym
Przez pokolenia, Co będzie ich gnieść
Krzykiem sumienia Brześć!

2.

Jeżeli prawdą jest, że się w historii
Powtarza scena tysiąletnich czasów,
To ci, co dzisiaj lśnią w fałszywej glorii,
Jutro mogą się prosić z pod obcasów,
I do Wolności z prośbą dłonie wzniesić —
A Ona niemi pogardzi, za Brześć!

3.

Brześć! O, natrętne przypomnienia słowo!
Car cię budował, by złamać w nas ducha —
Jeszcze o mury twe brzęczy grobowo
Grube ogniwo przemocy łańcucha,
W której kuć miano z carskiego wyroku,
Co pozostało się w nas żywym z szanćów
Tysiąc osiem set trzydziestego roku,
Z Ducha Powstańców —
Co jednak nie mógł zgnieść: Brześć!

4.

Brześć! Twierdzo carska będziesz kiedyś świadkiem
Gniotącym sprawców nadużyć łajdackich!
Świadkiem, że święte łono Polski Matki,
Rodzi Kasprzaków i — rodzi Biernackich!
Że i z krwi polskiej może się wyszczenić
Wyrodek podły — bez matczynej miny —
Za czyn którego, będą się rumienić
Do ostatniego pokolenia syny,
A podłość czynu będzie onych gnieść. Brześć!

5.

Ojczyzno Nasza! Na Twem młodem ciele,
W Twej chęcią życia pulsującej wiośnie,
Zakutej w sztywne żołnierskie szynele,
Militaryzmu rak zabójczy rośnie!
Na twarzach miłującej cię gromady,
Miast całujących ust, krwawe stygmaty
Raka: Znak zgiętej, płazującej szpady
I ślad ostrogi krwawiący, zębaty...
Polsko! Pragnęliśmy, by była wieść
Nieprawdą! Jednak, potwierdza ją Brześć!

6.

Brześć! Ma coś w sobie takiego to słowo,
Co przepłynęło aż za oceany
I czyni nas tu przed obcym niemową,
Bo nikt z nas nie chce być o Brześć pytany.
A jeno krwawią z bólu nasze serca
Że w tej Ojczyźnie, wczoraj zdjętej z krzyża
Gwałt sprawiedliwość hańbi i poniża,
A wstyd rumieńcem twarze przewierca,
Że na jej honor, zasługuje i cześć,
Rozlewa hańby czarną plamę: Brześć!

7.

Skąpe nam plony zrosły z krwi wylanej —
W imię Wolności na boisku bitew
Dla sprawy świętej, sprawy nienazwanej —
Nie starczy onych na zwrotkę modlitew
Do Ciebie, Mocarzu pokoju, Chryste
A jeszcze do ziarn plewa nam przybywa,
A jeszcze złodziej pomni —
Hańbi i imię, i ręce te czy
Które pragniemy ku To

427
Brześć!

Mowa Ks. Sobieniowskiego w Sokolni Gii. 123.

W ERIE, PA.

Wchodzę do sali i widzę kapłana,
Który do ludu polskiego przemawia.
Słucham: — czy Zastępów on wielbi Pana,
Czy o ułomnościach ludzkich rozprawia?
Tymczasem mylnie było me mniemianie:
On mówił o wielkim Wodzu w Sukmanie.

Siadam i słucham: łzy się do ocz cisną,
Tak rzewnie do serca ten kapłan przemawia;
Chwilami jak gromy słowa jego błysną,
To znów humorem słuchaczy zabawia.
Lecz z ust jego nie wyszedł frazes pusty;
Mówi z natchnieniem jako Złotousty!

Gdy wznosił ramiona swoje ku górze,
Gdy mówił — z ocz jego skry się sypały.
Wyglądał jak król w wspaniałej purpurze,
A słowa w czyny wnet się zamieniały.
Każde jego słowo sercami targa
Mówi jak nasz Kaznodzieja, Piotr Skarga.

Łzy mi do oczu się cisną ponownie
Wstydzę się łez i płaczu bez powodu
Lecz widzę łzy innych, wzruszenie niezmierne,
Gdy Mówca o Wodzu mówił Narodu,
Co siłę woli i mir miał nadludzki
A jest nim marszałek Józef Piłsudski.

Kończąc te pociechy powiedział słowa:
Że Polsce nic już więcej nie zagraża,
Bo Armja Polska jest zawsze gotowa
Strzedz Wolności, jak kapłan strzeże Ołtarza.
Tak mówił Kapelan i sługa Boski
Dzielny Patrjota, ksiądz Sobieniowski.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ

Wróg kraj zagarnia, jak zbój, dzień po dniu
I Polskę krwawym zalewa potopem,
Walczy za wolność z barbarzyńskich chłopem
Niezlomny żołnierz ostatkami tchu
Za nic mu rany i śmierć w boju za nic,
W obronie braci i ojczystych granic.

Dzika nawała triumfalny krzyk
Już ciska piekła, że Polska zdobyta,
We krwi się nurza bolszewicki sztyk,
Kozackich koni brodzą w krwi kopyta.
Gwałt i pożoga idą razem z nimi
I pół ojczyzny pożarami dymi.

W oczach narodów rozegra się bój,
Między słoneczną szablą a obuchem,
Świat czeka, rychło Polak krzyknie: „stój!”
I, runie w zgraję druzgocącym duchem,
Świat obojętny w tej wyrocznej dobie,
Co pozostawił Polskę samej sobie.

Wodzu nasz! Wodzu! Ciebie zesłał Bóg!
Byś stał się Polski natchnieniem i tarczą!
Zaległy trupy pola wszystkich dróg,
Już pod Warszawą strzały czerni warczą—
I nagle: piorun na dziejowej karcie:
Rozkaz płomienny—i przeciwnatarcie!

Wodzu nasz! Wodzu! Na twój władny zew
Pewny zwycięstwa żołnierz w ogień skoczył,
Młody ochotnik szaleje, jak lew,
Wpółdzieciak,—wroga i siebie krwią zboczył
Pod wolą Wodza całe wojsko razem
Jedną jest ręką i jednym żelazem.

Stało się! Sami stanęliśmy wraz,
I zwyciężyli bez pomocy cudzej,
Lecz słońce sławy nie oślepią nas,
Choć pierzchli w grozie parobcy i słudzy!
I cały naród święci duchem męskim
Rapsod o wojsku i Wodzu zwycięskim...



JOZEF PIŁSUDSKI

Wiedzą, że brwi krzaczaste, że szumiaste wąsy,
I że nieprzepisową nosi maciejówkę,
Słyszeli, że dosadnem wyraża się słówkiem,
Że z litewska przeciąga i że miewa dąsy.

Wiedzą jeszcze, że „forsy” nie ruszy. To cenią;
Więc chamską czują trwogę i durny szacunek.
Jak w narożnym sklepiku groszowy rachunek,
Sprawdzają go swem sercem, jak własną kieszenią.

Kiedy autem przez miasto, błękitne i chmurnie,
Przemknie, ciągnąć za sobą siwy tren legendy,
Oglądają się—czując na chwilę, podskrónie,
Dreszczyk, zew nieziszczalny okrutnej komendy:

Zew, wiecznie narzucany tak gorzkim milczeniem,
Lub czasem słów cykutą, prosto w twarz bryźniętą,
Że mógłby tem wołaniem uskrzydlić kamienie,
Lecz nie ich. I wie o tem. I strasznie pamięta.

A tu rosną i rosną zmagania olbrzymie,
Prawda, której nie wcieli w rozkazy pułkowe,
W żadne prawa, dekreta, w żadną ludzką mowę,
Tylko w mękę: „Wielkości, jakie twoje imię ”

Gdy wyszedł na ulicę, gdy trzeszczały kości,
Gdy o tę prawdę grzmiało serce i armaty,
Znów chcieli jej „na codzień”, na raty, na spłaty,
Paragrafami mierząc huragan wolności-

I zawsze będą mierzyć, a nigdy nie zmierzą,
Pomrukując po kątach ździwieniem, zawodem,
I w cierpką miłość jego nigdy nie uwierzą,
Kiedy przez Polskę idzie samotnym pochodem.

Tylko mu raz, pod oknem ,kiedy dumał nocą,
Wyszłochał wszystko żołnierz, stojący na warcie,
Płakał, płakał jak dziecko: „Ach czemu, ach po co
Tak męczysz się, tak cierpisz za nas, Komendancie?”

J. T.

430

akter naszej akademji na tle czasów, które przeżywamy. Przede wszystkim zaś, poprostu kochaliśmy Komendanta, kochamy go i kochać będziemy, a miłości tej z serc naszych nikt wydrzeć nie zdoła.

Nie umiem myśleć o Piłsudskim, nie wiążąc jego imienia z nieugiętą walką, jaką toczy obecnie naród polski. Imię to stało się oddaną symbolem oporu wobec najeźdźcy, walki o wolność, wielkość i honor Polski. Wiem z całą pewnością, że tak jest obecnie w umęczonym kraju, gdzie Piłsudski, choć umarł, sprawuje nadal dowództwo w znaczeniu moralnym, gdzie prawie każdy, kto walczy i śmiereci samotnie w oczy zagłada, z pamięci o nim czerpie siłę wytrwania i moc duchową.

Wiem, że wszędzie, gdzie lotnik polski sławę przemierza, gdzie marynarz polski oceany przemierza, gdzie żołnierz polski bój toczy, lub gdzie stoi w pogotowiu — imię Piłsudskiego stało się kodeksem wiary tulących się zbrojnych, podporą moralną w chwilach zwątpienia, hasłem zbiórki dla rozproszonych, osamotnionych i poszukujących punktu oparcia. Wiem, że na obczyźnie wszędzie, gdzie rozbrzmiewa mowa polska, imię Piłsudskiego wymawiane jest z uczuciem nieustannie wzrastającego hołdu. Usiłowano wyrwać go z serc Polaków — i oto pozostał tam, bardziej niż kiedykolwiek kochany i czczony. Usiłowano wyrwać go z pamięci naszej — i oto trwa wśród nas, coraz bliższy duchowo, rzecz można jeszcze bardziej niż za życia żywy. Uczono zapomnienia, tępiło sentyment żołnierski, siano szeroko niechęć i zwątpienie — a wyrósł plon miłości i wiary bujniejszy i powsechniejszy niżli kiedykolwiek.

Naród nasz zrozumiał wielką prawdę życia Piłsudskiego, że jego miłość ojczyzny była najszlachetniejszej miary, czysta, bezgraniczna, przesowna. Pragnął on dla Polski wielkości prawdziwej, a na czoło wszystkich zasad, które ku wielkości tej prowadzą, wyniósł poczucie godności narodowej, majestat obowiązku i wiernej służby dla kraju, pogardę dla prywaty, przywileju i korzyści osobistych, a przede wszystkim wiarę we własne siły narodu. Romantyk i idealista w myśleniu, a jednocześnie twórca i praktyczny realizator, kochał Polskę nie jako poetycką wizję czy mistyczną abstrakcję, lecz jako twór żywy, utkany z krwi i kości, niewolny od ciężkich wad i błędów, prowadzących w przeszłości do upadku, lecz jednocześnie pełen najwznioślejszych zalet, dzięki którym Rzeczpospolita zdołała sobie wielką imię w świecie i wreszcie powróciła, by zająć należne miejsce w rodzinie wolnych narodów.

MARJAN HEMAR

19 MARCA 1940

Cisza była w kościele, przerywana jeno
Płacem kobiet, Rycerze stali nieruchomo.
Tylko im wąsy drgały w szloch. Na ambonie
Wystąpił ksiądz Kamiński, błąd jak opłatek.
Przez ramię przewieszony miał bęben
żołnierski,

W dłoniach pałeczki trzymał. Milczał długo.
Nagle

Uderzył w bęben werblem żołnierskim —
i urwał.

I zdumieli się wszyscy. Znowu dłonie uniół
i znów zagrał na larum — na trwogę —
aż cisnął

Pałeczki na kamienną posadzkę kościoła
I na katafalk zwrócił oczy i zawołał:
Panie Wołodyjowski!

Wtedy, z niewiastami,
Zawłakali rycerze. A ksiądz wołał trupa —
Panie Wołodyjowski! — wróg w ojczyźnie
stanął

A ty śpisz? A ty szabli nie dobywasz? Konia,
Rycerzu, nie dosiadasz?

O, Panie Marszałku!

o Marszałku Piłsudski,
o daleki cieniu,
Błękitny, nieuchwytny,
Przeinaczony w wspomnieniu —

Szukało Cię radjo po nocach
Na odsiecz ginącej Warszawie
A Tyś się nad mapą nie schylał.
W tej najcięższej, najsroźszej przeprawie
Wołały Cię krzyki werblów
Milknących już, rozpaczliwych.
A tyś miecza nie dobył.
Konia nie dosiadł.
Nie było Cię pośród żywych.

W trumnie pod wieżą Srebrnych Dzwonów,
W kamiennym lochu leży On,
Co sam za życia był jak dzwon,
Gdy w serce swoje wziął z milionów
Serc — wszystką gorycz, wszystek żal
I wszystek hart samotnej mocy
I wszystką dumę głuchych nocy
I polskich marzeń wszystką dal.
I wszystko w sobie stopić umiał
W jednego spiżu trudny ton.
Ale nikt w Polsce nie rozumiał,
Dla kogo brzmi bezsenny dzwon,
Dlaczego lampa lśni co nocy,
Do świtu, w oknie w Belwederze

I skąd się bierze owa moc,
Ze prężą się — jak młodzi porucznicy —
I bledną najstarsi żołnierze,
Gdy w oczy patrząc
Zmarszczy brwi.

O Panie Marszałku,
O Marszałku Piłsudski.

Stertami kwiaty kładli
Na belwederskim dziedzińcu —
Ziemię znosili, kopiec
Sypali Ci na Sowińcu.
Serce zanieśli na Rosse.
A ciało, jak próżną zbroję
Złożyli w krypcie Wawelu.
I wrócili — swój do swego, po swoje.

I robili wycieczki,
U biadali: Ojczyzna!
I stawiali pomniki,
I krzyczeli: puścizna!
I nagle ich było tak wielu
Przy puściznie Twojego imienia.
Tę puściznę rozrywali w tłoku
Cały rok, dzień i noc, bez wytchnienia,
A dla Ciebie — tylko raz do roku —
Zostawiali minutę milczenia
I tylko tej minuty — jeden raz do roku —
Można było usłyszeć, bez niczyjej komendy,
Jak w górze — coraz dalej — skrzydła biją
w mroku.

To odlatał archanioł umarłej legendy.

Ale dzisiaj, w przeraźliwym blasku
Nieszczęścia, wstydu i klęski,
Serca mając trzepocące w potrzasku
I szloch w gardle dławiąc niemęski —

Gdy wydaje się w myśli bezładzie,
W beznadziejnej, nikczemnej obawie,
Ze już przysły polskie sny o szpadzie,
Sny o mocy i sny o sławie —

Gdy już tylko szukamy — czyj błąd?
Kto był winien? Jakiej komu kary?
Kto oszukał i kogo pod sąd? —
Jakby dość było takiej ofiary —

Kiedy triumf mocy djabelskiej,
Patrzeć każe złu twarzą w twarz —
Gdy u tej krypty wawelskiej
Niemcy trzymają straż! —

Przez lzy nawisłe u rzes
Pytają bezradne spojrzenia —

Jaki był w Polsce sens
Jego istnienia?

Odpowiedź surowa.
Ale brzmi najprościej.
Jego testament — dwa słowa:
Nakaz wielkości.

Wielkości — to znaczy:
Większe niż los — mieć serce.
I być wielkim w rozpacz.
W nędzy i w poniewierce.

Nauczyć się poprzez zło
I gwałt dwugłowego czarta,
Co znaczy wolność, i co
jest, i co będzie warta.

Dzisiaj nie czas na kręte wysiłki,
Na sąd, kto winien — ci, tamci, czy inni?
Każdego błędu i każdej pomyłki
My wszyscy, wszyscyśmy winni!

Winien jest kłamca, i każdy co wierzył
Kłamcy, bo wierzyć było najwygodniej.
I każdy co Polskę swoją miarą mierzył
I mniej miał dla niej a więcej chciał od niej.

Kto się dla siebie wymówki doprasza
Niech jeno spojrzy prawdzie w twarz:

Każde zwycięstwo jest nasze
I każda klęska jest nasza.
Nasz, wspólny, jest honor. I każdy
Grzech, każdy błąd — jest nasz.

Oto jest nakaz wielkości.
My już nie mamy wyboru.
My już musimy, po wieczność wieczności
Zyć według jednego wzoru.

Oto ślub nasz, Panie Marszałku,
Dziś rozbitki miotani przez fale —
Jutro będziemy wielcy —
Albo nie będzie nas wcale!

Albo stanie na murach Warszawy
Pomnik sławy, łuk zwycięstwa promienny,
Albo niech zatkną tam krzyż
Na grób.
Ale krzyż bezimienny.

Ażeby się nie dowiedział
Do końca świata wzrok ludzki,
Ze tu leży naród, którego wodzem, —
Naprózno —
Był Józef Piłsudski.

Przewidywał, że rozproszkowanie politycz-
ne ciał ustawodawczych stworzy żerowisko
dla intryg kularowych, nadających nienatu-
ralne znaczenie stronnictwom małym, nikogo
właściwie nie reprezentującym, pragnącym od-
grywać rolę przysłowiowego języczka u wagi.
Piłsudski był zdecydowanym zwolennikiem
wypróbowanych zasad demokracji anglosas-
kiej i niejednokrotnie podnosił zalety ustroju
Stanów Zjednoczonych. Po powrocie do War-
szawy w listopadzie 1918 r. uważał za sprawę
najpilniejszą, nie cierpiącą zwłoki, zwołanie
sejmu ustawodawczego, i zdołał to osiągnąć z
szybkością niezwykłą, pomimo że kraj był
spustoszony, zdeorganizowany, wyludniony.
Często powtarzał wówczas w rozmowach ze
mną, że trwała wartość ma tylko to co jest
dobrowolnie przyjęte przez głowy i serca ludz-
kie, co płynie z własnej pracy wewnętrznej, co
powstało w drodze swobodnego ścierania się
prądów opinii, nie zaś z tego co zostało narzu-
cone i podyktowane z góry. Wierzył żarliwie,
że pomimo nieuniknionych a nawet potrzebn-
ych różnic w poglądach, naród polski w os-
trej, być może, lecz uczciwej i lojalnej walce
myśli i programów, nauczy się rychło być
„rozumnym panem i gospodarzem własnego
państwa”, że osiągnięta trwała zdolność do pra-
cy zespołowej, zapominając o podziałach i róż-
nicach wszędzie tam, gdzie wchodzi w grę
interesy nadrzędne narodu. Żądał przede wszystkim
usunięcia poza obręb przetargów wew-
nętrzných dwóch najważniejszych dziedzin ży-
cia państwowego: polityki zagranicznej i woj-
ska. Był zdania, że źle się dzieje, jeśli nad po-
lityką zagraniczną biorą górę względy związa-
ne z bieżącymi sporami wewnętrznymi.

Piłsudski rozumiał, że wstrząs wojny świa-
towej prowadzi do wielkich przemian społecz-
nych. Podczas rozmów naszych w cytadeli
magdeburskiej podnosił koniecznie gruntow-
nych reform w Polsce, zapewniających dobro-
byt i szerokie prawa dla mas pracujących.
Wśród chaosu świata powojennego właściwą
drogę dla Polski upatrywał w umiejętności od-
nalezienia zdrowej przeciętnej, opartej na
rozumnym i sprawiedliwym kompromisie.

Zagadnienie jedności narodowej, jako jedy-
nej drogi właściwej w czasach szczególnie tru-
dnych i niebezpiecznych stawało przed Piłsud-
skim dwukrotnie. Zaraz po powrocie z więzie-
nia niemieckiego, dążył do stworzenia rządu
koalicyjnego, zdając sobie sprawę, że na zgliš-
szczach i ruinach, gdy trzeba stanąć zgodnie
do odbudowy „domu ojczystego”, nie można
zaczynać od nieprzejednanych waśni rodzin-
nych. Byłem obecny przy mozolnych konfe-
rencjach Piłsudskiego z przedstawicielami tak
(Ciąg dalszy na str. 3-ej)

431

ŻÓŁTY KRZYŻ

(Ciąg dalszy)

— Pan myśli, że ojciec by mi uwierzył? Za nic! On na to zbyt uczony i nie ma żadnej wyobraźni. Przed nim, tak dobrym i kochanym, musimy się bardzo strzec. Niech się, broń Boże, niczego nie domyśli. Wie pan, co on by zrobił?

Zbliżyła się tak, że włosami musnęła go po twarzy i mówiła spłoszonym, zdyszczanym szeptem:

— On by mi tu znowu sprowadzał doktorów... Nasz tutejszy stary radca Schichau jeszcze ujdzie i właściwie się nie liczy, ale by wali u mnie i inni... Najgorszy to ten z Kolonji, doktor Huldermann, z oczami inkwizytora. Gdy ten spojrzy na mnie, od razu maci mi się w myślach, robię się zła... Bardzo lubi mnie męczyć, to jest prawdziwy kat... Zamyka się ze mną na konsultację i prowadzi szpiegowską rozmowę, zapuszcza mi w mózg ostry świder, aż mi się coś pruje w czaszce... Okropny człowiek!... Na dobitkę każe mi chodzić z wizytami i przyjmować gości, a zabrania mi grać...

* * *

W tajnej pracowni przy zakładach „Badische Anilin und Soda Fabrikation”, w tak zwanym przez chemików „Piekło Wagera” — „Wagershoelle” — zastój doszedł do tego stopnia, że profesorowie-teoretycy i inżynierowie-technicy zupełnie przestali przychodzić nawet na papierosa i na wymianę codziennych plotek. Personel pomocniczy oraz laboranci zjawiali się jeszcze po trosze z poczucia przyzwyczajenia i z nudów, a głównie ze strachu, by których z agentów wyższej miary, z kategorii tych, którzy uwijają się po kraju czuwając nad prawidłowością działania wszelkich funkcji życia narodowego, nie spostrzegli tego próżniactwa. Gdy to zostanie stwierdzone, policzone będą ich dni spokoju i ludzkiego istnienia. Zjawia się z odnośnym papierem byle jakiej kapitan bez oka lub porucznik z pustym rękawem i wnet potworna machina armji chwyci ich w swoje stalowe zęby, rozmięcie po okręgach właściwych korpusów i prędzej niż później wtłoczy ich w szeregi jakiejś kompanji, zawagonuje, wywiezie precz i

pewnego dnia wyzenie ich los w szczerze pole, gdzie w zamieci pocisków wyje śmierć. Epokowe zwycięstwo zdziesiątkowało szeregi stojące w polu, a choć straszliwie ścisła cyfrę strat znał tylko Bóg w niebie, a do pewnego stopnia i generał Ludendorff w głównej kwaterze, to jednak ci spokojni, prości ludzie byli pod złym urokiem niemyłej legendy, która zgrozą powiała przez niemieckie krainy. Było jasne, że muszą być wypełnione niesłychane szczyrby, wybite w szeregach przez tak wielki triumf nad nprzyjacielem. Na miejsce trupów i ranych muszą stanąć żywi i zdrowi, których nieobecność na placu boju nie jest naleyście usprawiedliwioną przez najpilniejsze konieczności życia państwowego i przez potrzeby frontu.

Gdzie ich było szukać o tej porze? Będą brać starych, ułomnych, słabych, z których żadna musztra ani żadna propaganda nie zrobi nigdy żołnierzy zdolnych do trudów wojny i przydatnych w boju, i tylko że zdołają posłusznie nadstawić się pod kule i zginąć. Nadzwyczajne lotne komisje wykryją szczęśliwców, którzy pod ważkami, mądrze obmyślonemi pozorami, za osłoną potężnych protekcji aż do dzisiaj uniknęli frontu. Naprawione będą wszystkie przeoczenia w spisach, jeszcze raz przesiani, przetrząśnięci będą wszyscy. Fabryki zaczęły się ogałacać z robotników, pola z oraczy, choć i ci, co są, ledwie nastarczają, żeby życie narodu tliło się bodaj resztkami. Straszni komisarze trafiają rychło i do wybrańców losu, arcykapłanów wiedzy tajemnej, a cóż dopiero do tych, co im posługują przy mistycznych obrzędach. Kiedy strwożona ich delegacja powróciła od samego pana tajnego radcy profesora Wagera, który im oznajmił, że pracownia doświadczała na po spełnieniu wszystkich swych zadań znajduje się w likwidacji, a zarazem dodał krótko pokrzepiającą nowinę, że jest wojna, a zatem każdy Niemiec . . . i tak dalej — więc i ci najzupełniej zabezpieczeni i szczególnie uprzywilejowani funkcjonariusze „Wagersholle” zaczęli oglądać się za jakimś przecie ratunkiem. Ciężko, dolegało im zdrowie, ten najdroższy skarb człowie-

ka, więc głodzili się, pili ocet, wyniszczali się bezsennością, wreszcie zdobywali sekretne adresy i chodzili po mądrych kryminalnych znachorach, których wyhodowała wojna. Jak wielu innych truli się proszkami, kroplami, kwasami, utrzymywali się w sztu cznej gorączce, połykali igły, udęczeni serce, nabywali kolek, okrywali się wrzodami, a poniektóry, bardziej gorliwy, mniej szczęśliwy, z tej udanej choroby umierał naprawdę, nie doczekawszy się orzeczenia straszliwej komisji.

I znowu zdarzały się chwile, gdy Claude zapominał się i wruszał się do głębi cierpieniami wroga. Podstępem zakradał się weń doktor Ossjan Helm i rządził się po swojemu, bolał i trapił się, jak przystało na Niemca w ciężkiej dobie skołatanej ojczyzny. W jego opętaniu przez Ritę świat zewnętrzny roztaczał się przed nim jak w przyćmionym świetle, jak przez lekką zasłonę i to, co się koło niego działo, nie miało doń bezpośredniego dostępu, jednak w życiu codziennym obracał się między ludźmi, chodził ulicami dużego miasta, przerzucał gazety, o jego uszy obijały się nowiny, rozmowy, wyrzekania, żale, nadzieje. Nie zawsze umiał się obronić od zadumy nad tem i wówczas nie dostrzegał nawet, że jego pojęcia i jego myśli układają się w słowa i zwroty obcego języka. Gdy niekiedy chwycił się na tem, uśmiechał się i mijał to lekko. Teraz, gdy odzyskał Ritę, nie miało to dawnej grozy.

Pogrążony w mistyce swego uwielbienia, zatracił stopniowo żywą łączność z poczuciem prostej prawdy o tem, co jest. Wyrzucił sobie niebezpieczny przywilej — realizm świata zjawisk nie obowiązywał go całkowicie i bezwzględnie. Otaczała go leniwa dowolność, marzycielskie zagmatwanie rzeczy prostych, uwodził go kuszący urok powątpiewania o zjawiskach niezłomnej rzeczywistości. Szedł za Ritę.

Chciał zespolić się z nią całkowicie i bez strachu zapuścił się w krainę złudy. Z początku pamiętał, że opiekuje się chorą i że, wierząc w jej urojenia, udaje. Zaciekawiała go moc jej wyobraźni, śledził zawile, nie docieczone drogi, któremi zjawy czystego zmyślenia przechodzą w jej mózgu w rzeczywistość. Słuchał, gdy opowiadała swoje dziwy i dziwolagi, i nigdy nie zaprzeczył, nawet nie okazał zdziwienia. Niebawem wplótł się sam w tok jej myślenia i godzinami mógł przebywać z nią w bezkresach nie istniejącego świata, a gdy ją żegnał i wychodził — budził się. Czasami, zresztą, niezupełnie.

— Wczoraj o zmierzchu wypędziło mnie

coś z domu, nie mogłam usiedzieć, przenośliam się z pokoju do pokoju, wreszcie, nie mogąc dać sobie rady . . . A pan, jak na złość, nie przychodził . . . Więc poszłam do ojca, zajrzałam — siedzi przy lampie, trzyma jakieś papierki i płacze . . . Nie spostrzegł mnie. Powinnam była zapytać go, co mu jest, pocieszyć, utulić . . . Zła ze mnie córka, ten płacz mnie właśnie odtrącił, ulekłam się czegoś, uciekłam . . . Na dworze ciemno, wiatr, na moście tak zaćmło, że szłam trzymając się balustrady . . . Błakałam się bez celu, jak obca . . . Może zajść do sklepu kupić cośkolwiek? Może wstąpić do kościoła? Ale kościoły o tej porze zamknięte. Od dawien dawna, ach, od grudnia zeszłego roku nie byłam u nikogo ze znajomych — a już pójść na chwilę do Steindorffów, tam zawsze tak spokojnie, patrzyłam chalnie nudno, ale obaj chłopcy bardzo mi li, lubiłam ich zawsze. Cóż, poszłam. Smutno mi się zrobiło, zapalali latarnie, ale mia sto teraz tak słabo oświetlone . . . Uczyniło się jakoś ponuro . . .

(Ciąg dalszy nastąpi)

owym, środków przymusu.

Litwini złożyli protest na konferencji wersalskiej przeciw zajęciu miasta przez siły polskie. Zażalenie ich osłabiał fakt, że Piłsudski nie anektował Wilna, lecz oddał administrację w ręce ludzi miejscowych i gotów był przyjąć taką decyzję co do przyszłości miasta, jaką powezmą jego mieszkańcy. Ci zaś popierali jak najgoręcej Piłsudskiego.

Armja nasza, wykorzystując zwycięstwo wileńskie, parła naprzód. Mińsk padł w sierpniu, Suwałki wczesną jesienią. Na południu Ukraińcy zostali zmuszeni do odwrotu; na północy wojska Smigłego-Rydza, współdziałając z Łotyszami, odparowały zwycięsko ataki bolszewickie, same z kolei przechodząc do ofensywy. W styczniu 1920 r. Piłsudski wziął udział w obiedzie urządzonym na jego cześć w Dynaburgu, podczas którego Wódz Naczelny łotewskich sił zbrojnych, gen. Balodis, złożył mu gorące podziękowanie za pomoc ze strony Polski.

Dla Piłsudskiego rok 1919 był rokiem triumfów...



Oddział kawalerji polskiej przed Katedrą w Wilnie w Wielkanoc 1913 roku.

O, PANIE MARSZAŁKU

Cisza była w kościele, przerywana tylko
Płaczem kobiet. Rycerze stali nieruchomo
Jeno im wąsy drgały w szlochu. Na ambone
Wyszedł ks. Muchowiecki, blady jak opłatek.
Przez ramię przewieszony miał bęben
żołnierski

W dłoniach pałeczki trzymał. Milczał długo
Nagle uderzył w bęben werblem żołnierskim
-- i urwał

I zdumieli się wszyscy. Znowu dłonie uniósł
I znów zagrał na larum -- na trwogę -- aż cisnął
Pałeczki na kamienną posadzkę kościoła
I na katafalk zwrócił oczy -- i zawołał:
Panie Wołodyjowski! -- Wtedy z niewiastami
Zapłakali rycerze. A ksiądz wołał trupa --
Panie Wołodyjowski! -- wróg w ojczyźnie
stanął --

A Ty śpisz? A Ty szabli nie dobywasz?
Konia rycerzu nie dosiadasz?

O Panie Marszałku!
O Marszałku Piłsudski ...
O daleki cieniu,
Błękitny, nieuchwytny,
Przeznaczony w wspomnieniu --

Szukało Cię radjo po nocach
Na odsiecz ginącej Warszawie,
A Tyś się nad mapą nie schylał
W tej najcięższej, najsroźszej przeprawie,
Wołały Cię krzyki werblów
Milknących już, rozpaczliwych,
A Tyś miecza nie dobył,
Konia nie dosiadł,
Nie było Cię pośród żywych.

.....
W trumnie pod wieżą Srebrnych Dzwonów
W kamiennym lochu leży On,
Co sam za życia był jak dzwon,
Gdy w serce swoje wziął z milionów
Serc -- wszystką gorycz, wszystek żal
I wszystek hart samotnej mocy
I polskich marzeń wszystką dal.
I wszystko w sobie stopić umiał
W jednego spiżu gorzki ton.
Ale nikt w Polsce nie rozumiał,
Dla kogo brzmi bezcenny dzwon,
Dlaczego lampa lśni co noc
Do świtu w oknie w Belwederze,
I skąd się bierze owa moc,
-- Prężą się -- jak młodzi porucznicy --
I bledną -- najstarsi żołnierze,
Gdy w oczy patrząc,
Zmarszczy brwi.--

O Panie Marszałku!
O Marszałku Piłsudski ...
Stertami kwiaty kładli
Na belwederskim dziedzińcu --
Ziemie znosili, kopiec
Sypali Ci na Sowińcu.
Serce zanieśli na Roszę
A ciało jak próżną zbroję
Zamknęli w krypcie Wawelu.
I wrócili -- swój do swego po swoje.
I robili wycieczki
I biadali: Ojczyzna -- --
I stawiali pomniki,
I krzyżowali: spudłana!

I nagle ich było tak wielu
Przy spuściznie Twojego imienia,
Tę spuściznę rozrywali w tłoku
C ały rok, dzień w dzień bez wytchnienia,
A dla Ciebie - tylko raz do roku
Zzostawili minutę milczenia.
I tylko tej minuty - jeden raz do roku
Można było usłyszeć bez niczyjej komy,
Jak w górze, coraz dalej, skrzydła biją
w mroku.
To odlatał archanioł umarłej legendy.

Ale dzisiaj w przeraźliwym blasku
Nieszczęścia, wstydu i kląski,
Serca mają trzepocące w potrzasku
I szloch w gardle dławiąc niemęski,
Gdy wydaje się w myśli beznadzie,
W beznadziejnej i nikczemnej obawie,
Że już przysły polskie sny o szpadzie,
Sny o mocy i sny o sławie,
Gdy dziś tylko szukamy - czyj błąd?
Kto był winien? - Jakiej komu kary?
Kto oszukał i kogo pod sąd?
Jakby dość było takiej ofiary -
Kiedy triumf przemocy djabelskiej
Patzceć każe złu twarzą w twarz,
Gdy u tej Krypty Wawelskiej
Niemcy trzymają straż -

Przez łzy zawisłe u rzęs
Putają bezradnie sporzenia ...
Jaki był w Polsce sens
Jego istnienia?
Odpowiedź surowa,
Ale brzmi najprościej.
Jego testament - dwa słowa:
NAKAZ WIELKOŚCI.

Wielkości - to znaczy -
Większe, niż los, mieć serce,
I być wielkim w rozpacz,
W nędzy i poniewierce,
Nauczyć się poprzez zło
I gwałt dwugłowego czarta,
Co znaczy wolność i co
Jest i co będzie warta.
Dzisiaj nie czas na kręte wysiłki.
Na sąd kto winien - ci, tamci, czy inni
Każdego błędu i każdej pomyłki
My wszyscy, wszyscyśmy winni.

Winien jest kłamca i każdy, co wierzył
Kłamcy, bo wierzyć, było najwygodniej.
I każdy co Polskę swoją miarą mierzył
I mniej miał dla niej, a więcej chciał od Niej.
Kto się dla siebie wymówki doprasza,
Niech jeno spojrzy prawdzie w twarz -
Każde zwycięstwo jest nasze i każda klęska
jest nasza.

Nasz wspólny jest honor
I każdy grzech, każdy błąd jest nasz.
Ta wielkość niech dusze wzbogaci,
Choć dzisiaj cięży jak gład.
Każdy za wszystkich płaci,
Bo Polska - cała - to każdy z nas
Oto jest nasza wielkość,
My już nie mamy wyboru.
My już musimy po wieczność wieczności
Żyć według jednego wzoru.

Oto ślub nasz, Panie Marszałku,
Dziś rozbitki, miotani przez fale -
Jutro będziemy wielcy -
Albo stanie na gruzach Warszawy
Pomnik sławy, łuk zwycięstwa promienny
Albo niech zatkną tam krzyż na grób
Ale krzyż b e z i m i e n n y
Ażeby się nie dowiedział
Do końca świata wzrok ludzki,
Że tu leży naród, którego wodzem
Naprawdę - był Józef Piłsudski.

Rumunja, 19 marca

Marjan Hemar

Bracia

Przywołał brata brat
I bratu brat powiedział:
By zaprowadzić ład
W finansach będziesz siedział."

Brat nagle z krzesła spadł
I jęknął: Gdzie w finansach."
-Tak, odrzekł bratu brat,
Będąc po trzech pasjansach.

Lecz nie odmówił brat,
Przeciwnie: spojrzak dziarsko,
I zaprowadzić ład
Pojechał na Rymarską.

A brat ogromnie rad
Mruknał, gdy brat wychodził,
Mój brat, to dobry brat,
Bo jabym się nie zgodził.

Jej skarga

Wy mnie zwiecie wzgardliwie "pewną częścią ciała",
Kto me imię wypowie, ten nieprzyzwoity-
Na tronie faraonów jam już królowała,
Jam siedziała w rydwanie złotym Afrodyty.

Wieki miały, dawne bóstwa wymierały,
Zgasła Grecja i Rzymu legenda promienna,
Jam przetrwała... tak miękka, a trwalsza od skały,
I wieki całe przetrwam - tak ciągle niezmienna.
Czy to królewski pałac, czy chłopska chałupa,
Jam jest na każdym miejscu, chociaż pogardzona,
Rymują mnie poeci pięknie - od biskupa;
Wśród możnych tego świata, jam pierwsza sadzana
Czy to sejm, czy to senat, czy ministrów rada,
N.P.R., N.D., Ch.D., czy P.P.S.,
Choć buzia gada, ale kto zasiada?
Kto zna potrzebę ludzką i kto zna interes?
Zawiść przeto nie daje innym częściom ciała
Ani chwili spoczynku, z zawiści tej szydzą;
Mówią, że mnie ze wstydu ludzkość tam schowała,
To fałsz. Insynuacja. Ja się ludzi wstydzę,
Chodziłam jak westalka, ongi cała w bieli,
Jaśniałam różanością rozkosznej charyty,
I dziś się zamknęłam w obcisłej szat bieli,
Bo nie chcę patrzeć na ten świat nieprzyzwoity.
I tak poniewierana, w smutku czy też grzechu,
Jakie spełniłam czyny, jakie krwawe zbrodnie?
Gdy pragnę wolną piersią popuścić oddechu,
Dławi mnie kat więzienny - bezlitosne spodnie,
Kto z was w obronie mojej stanąć się odważy?
Kto mnie pokaże światu bez osłonek gołą?
Kto mnie nazwie serdecznie starszą siostrą twarzy,
I z miłością ojcowską ucałuje w czoło?
Upośledzona - cierpieć muszę za miliony,
Na tronie siadam sama będąc bez korony,
Imię moje - to cztery litery.
Jeden mnie doprowadził tylko do godności,
Jeden mnie ceni - mówię bez przechwałek,
I przy każdej wspomina mnie wciąż sposobności,
A tym największym nasz - Polski Marszałek.

/Juljan Ejsmond/

Wycinki

po śmierci Komendanta

May 1935

(1939 "na zeroku śmierci"
"swiatowid")

Kennedy
o działalności

Materiały nadane przez p. Adolla Guest
z Chicago po ojcu Alexandre DUBIŃSKIM
byłym legionistą